

Okolice warszawy – miasteczka

Rozkaz Hitlera, że rok 1942 ma być rokiem wyniszczenia ludności żydowskiej, był przez jego podwładnych wykonany z największą dokładnością i... barbarzyństwem nieznanym w dziejach ludzkości.

Po zakończeniu pierwszego etapu „akcji” wysiedlenia w warszawskim getcie, w czasie kiedy wywieziono do Treblinki blisko pół miliona Żydów, przyszła kolej na miasteczka dystryktu warszawskiego. „Fernichtungs Komando” udaje się do okolicznych miejscowości i rozpoczyna się „taniec czarownicy”. Na pierwszy ogień idą getta Otwocka, Falenicy, Rembertowa, Mińska Mazowieckiego, Siedlec, Mordów i Kosie.

Zbrodniarze niemieccy stosują tu te same kłamliwe metody. Obiecują, że tylko Żydzi niepracujący, niepożyteczni, będą wysyłani na Wschód; pozostali zaś, zatrudnieni zostaną w firmach niemieckich, pracujących dla dobra okupanta i pozostaną na miejscu wraz z rodzinami.

Niestety, znajduje się wielu takich, którzy dają wiarę tym obietnicom. Uciskane i zniewolone masy żydowskie ogarnia zamieszanie i dezorientacja. Nikt nie może pogodzić się z myślą, że „wywózka” na Wschód oznacza zagładę. Nie chce się wprost wierzyć, że ludzie „Herren-Volku” dopuszczają się zagłady niewinnych żydowskich mężczyzn, matek i dzieci. Część myśli, że za pieniądze będzie się można wykupić od deportacji. Płacą więc olbrzymie sumy, jakich żądają miejscowe władze niemieckie. Kobiety żydowskie oddają swoje kosztowne ozdoby, aby tylko uniknąć wywiezienia. Pełne zgrozy wiadomości, jakie przynoszą uciekinierzy z piekła Treblinki, wywierają duże wrażenie i mają olbrzymi wpływ na zmianę nastrojów. Coraz więcej ludzi dochodzi do przekonania, że rozporządzenie o zagładzie Żydów pochodzi z kancelarii Hitlera, z Berlina, a miejscowe władze okupacyjne nie mają nic do powiedzenia. Likwidacją zajmują się bezpośrednio formacje SS i gestapo. Żydzi zaczynają się coraz powszechniej ukrywać. Są wypadki samoobrony i stawiania oporu. Młodzi ludzie zaczynają uciekać z gett do okolicznych lasów. Mordercy jednak w swoich niecznych czynach posuwają się dalej. Dzień w dzień jadą

pełne wagony do Treblinki.

Dnia 19 sierpnia zostaje okrażone getto w Otwocku, które było znanym kurortem, odległym o 28 km od Warszawy. Wpierw wyprowadzają wszystkich chorych Żydów ze szpitali i sanatoriów i zabijają ich na miejscu. 7000 Żydów wpędzono do bydłych wagonów, bez jedzenia i picia, w straszliwej ciasnocie i skierowano do Treblinki. Duża ilość tych nieszczęśliwców zmarła w czasie podróży. W kilka dni później mordercy z SS wyciągnęli ze schronów dalsze trzy tysiące Żydów. Jeszcze przez kilka tygodni trwały egzekucje. Na razie okupant zostawił przy życiu w Otwocku kilku członków Judenratu i żydowskiej służby porządkowej, których po krótkim czasie również wysłano do obozów w Wilanowie i Piekielku.

20 sierpnia wywieziono do Treblinki całą ludność żydowską Falenicy i Rembertowa. W Falenicy okupant pozostawił zaledwie 100 Żydów, pracujących w tutejszym tartaku, który został skonfiskowany żydowskiemu właścicielowi — Neiwerowi.

W ciągu jednego dnia wysiedlono Żydów z Mińska Mazowieckiego. Pozostało tu ich tylko kilkuset zatrudnionych w fabryce Rudzkiego. Starców i chorych rozstrzeliwano na miejscu. Nazajutrz rozstrzelano także członków Judenratu. Pewna liczba Żydów uniknęła śmierci z rąk barbarzyńców dzięki ucieczce do innych miasteczek. Trzy dni trwało wysiedlanie Żydów z okręgu siedleckiego. Wszyscy zginęli w komorach gazowych Treblinki. 24 sierpnia zostali zabici w Siedlcach wszyscy chorzy i personel żydowskiego szpitala.

Falenica – tragiczny los

Zatrzymajmy się krótko nad tragicznym losem falenickiego getta, opowiedzianym przez, cudem ocalonego, Borucha Goldsteina. Swoje przeżycia opisuje on w „Księdze Falenicy”. Píše tam m.in.: „Koniec miesiąca maja. Do getta przybyło dwóch panów: Geser Dic, z otwockiego Arbeitsamtu i folksdeutsch, Hetel, który zarządzał skonfiskowanym tartakiem. Ci dwaj osobnicy w towarzystwie olbrzymiego psa-wilczura po prostu sterroryzowali Żydów w getcie. Przy pomocy gettowej policji zgromadzili wszystkich młodych Żydów, ustawili ich w szeregu, wybrali około 80-ciu ludzi do pracy w tartaku przy cięciu desek i stawianiu baraków dla niemieckiego wojska.

Powiedzieli zaledwie kilka słów: Wy wszyscy, jeżeli będziecie dobrze pracowali, to macie szansę przeżycia. Pozostały «szajs» będzie stracony”. Tartak znajdował się poza gettem, około pół kilometra. Codziennie rano, o godz. 6-tej, Żydzi ustawieni w szeregu, konwojowani przez policję gettową udawali się do pracy.

O godz. 7-mej wieczór, w takim samym porządku, wracali do domów, gdzie już przy gettowej bramie czekały na nich: żony i bliscy, ryzykując życiem. Bowiem esesmani z pociągów, przejeżdżających przez falenicką stację mogli widzieć tutejsze getto. Ci bandyci urządzali sobie zabawę strzelając do Żydów, zabijając lub raniąc wielu z nich.

Dnia 16 lipca, Hetel zebrał Żydów i zakomunikował im, że nazajutrz getto w Falenicy przesiedlą. Zaproponował przeto pracującym w tartaku, by pozostali na noc i tą drogą uniknęli wysiedlenia.

W południe przyjechali żandarmi z Rembertowa, którzy także mówili o mającym nastąpić przesiedleniu. Obiecali jednak Judenratowi, że jeśli dostaną 100 tysięcy złotych, to getto w Falenicy na razie pozostawiają w spokoju. Tego samego dnia przywieźli mieszkańców z okolicznych, zlikwidowanych gett, takich jak: Wiązowna, Miłosna, Zakręt i Rembertów.

Judenrat rozpoczął zbieranie wśród tych ludzi 100 tysięcy zł. Część udało się zebrać w gotówce, resztę uzyskano za sprzedane, poza gettem, rzeczy i w ten sposób „rzekomo” uratowano się przed likwidacją getta.

Tej samej nocy przez Falenicę przejechał pociąg z Żydami z Otwocka. Słyszano dochodzące krzyki z zaplombowanych wagonów: Wody... Wody, Tate... mame... God, majn Got, itp. Wówczas wśród falenickich Żydów zaczęło się rodzić podejrzenie, że pomimo iż żandarmi zabrali te 100 tys. złotych, to oni tak czy owak, będą, zlikwidowani. Większość jednak wierzyła przyrzeczeniom i pozostała w getcie.

20 sierpnia przydarzyło się nieszczęście. Około godz. czwartej nad ranem getto w Falenicy zostało okrażone przez Niemców. Gdy zrobiło się widniej, wtargnęły do getta oddziały SS, Ukraińcy i opryszkowie litewscy. Zaczęli spędzać kobiety i dzieci, strzelając do każdego, kto nie mógł lub nie chciał opuścić domu. Przy okazji mordowali i rabowali do woli. Cały tłum musiał się usadowić na pustym placu, w getcie i czekać na przybycie wagonów. Nie wolno się było poruszyć. Za każde poruszenie się groziła śmierć. Tylko policja gettoowa podawała od czasu do czasu trochę wody do picia. Miała ona przyobiecane, że ich rodzin nie będą się czepiać. Jednak ku swemu wielkiemu przerażeniu zobaczyli, że ich oszukano, bo na plac sprowadzono również ich rodziny, żony i dzieci. Wobec tego niektórzy z policjantów z wielkim oburzeniem zerwali opaski i czapki, rzucali swe gumowe pałki i siedli przy swoich najbliższych, ale niewielka grupa pozostała nie reagując na zdradę Niemców.

A jak wygląda droga śmierci? Opowiada o niej w swoich wspomnieniach, w tejże „Księdze”, Mieczysław Chodźko: „W dniu wysiedlenia było nas około 160 osób. Zostaliśmy wepchnięci do bydłowego wagonu z zabitymi i zakratowanymi oknami. W wagonie były kobiety z dziećmi, kobiety ciężarne, mężczyźni i starcy. Podróż do Treblinki, około 100 km, trwała ponad 40 godzin. Prócz nadzwyczajnej spiekoty, udręką był brak wody i możliwości załatwienia potrzeb fizjologicznych. W wagonie panowała ciasnota, tak że nie było można się odwrócić. Po kilku godzinach jazdy ludzie zaczęli puchnąć z gorąca, padały trupy, a podróż dopiero się rozpoczynała. Kiedy w Treblince otworzyli wagony, było już ponad 20% trupów. W czasie, gdy pakowano ludzi do wagonów naziści morderczo bili. Miały też miejsce bohaterskie wystąpienia, pojedyncze wypadki stawiania oporu i samoobrony. Rodzina Rotenstein, ojciec i dwaj synowie, stanęli przy drzwiach prowadzących do ich mieszkania z toporami w rękach. Zabili kilku nazistów do chwili, gdy zostali zastrzeleni. Wielu młodym ludziom udało się przedrzeć przez różne patrole i uciec z getta. Część starszych kobiet z zapalonymi świecami w rękach puciekała z domów”.

Jak zginęły dzieci sanatorium Medema w Miedzeszynie

Wraz z likwidacją falenickiego getta zginęły dzieci przebywające w światowej sławy Sanatorium Medema, w sąsiednim Miedzeszynie. Hitlerowcy ich nie oszczędzili. Dwieście żydowskich dzieci zostało bezlitośnie wyrwanych z ich drogiego i kochanego domu i wysłanych do Treblinki, gdzie podzieliły los całego narodu. Sanatorium Medema istniało ponad 16 lat i było przeznaczone dla dzieci żydowskiej biedoty w Polsce. Dzieci były nie tylko leczone w odpowiednich klimatycznych warunkach, ale otrzymywały świecką naukę. Tworzyły tu „własną republikę”. Miały własne kierownictwo i własny samorząd. Wydawały własną gazetę radiową. Pielęgnowały kwiaty i własny ogród. Karmiły króliki i hodowały kury. Wśród dzieci była prowadzona urozmaicona praca kulturalna, związana z imprezami i zabawami — nawet w tych strasznych dniach. Chciano, aby dzieci mogły się bawić, nawet w czasie okrutnej okupacji hitlerowskiej, by zapomniały o smutku panującym nad światem zewnętrznym. W czasie głodu została wykorzystana każda piędź ziemi do sadzenia warzyw, które były bardzo pomocne w żywieniu.

To wszechogarniające, straszne przesiedlenie zbliża się do mniejszych miejscowości. Przenosi się na linię WarszawaOtwock.

Zlikwidowano getto w Falenicy. W sanatorium Medema w Miedzeszynie robią już przygotowania do „ostatniej podróży”. Pakują dla dzieci paczki na drogę.

„W dzień przed likwidacją — pisze w swoich wspomnieniach wychowawca w Sanatorium Medema, Chaim Elenbojgier — zwołano zebranie starszych dzieci, na którym nauczyciel, Friedman, wyjaśnił, co zaszło, radząc jednocześnie dzieciom, by próbowały się ratować ucieczką do pobliskich lasów. Grupa dzieci natychmiast tam uciekła. Złapano je i z powrotem sprowadzono do sanatorium. Uratowana została tylko jedna dziewczynka o nazwisku Hochberg, której udało się przechować u sąsiada — Polaka. Dnia 20 sierpnia 1942 roku, o godz. 5-tej rano, zaczęli spędzać ludność Falenicy i Miedzeszyna koło bóżnicy.

Dzieci z Sanatorium z dużą częścią personelu, w szeregu, pod eskortą SS i policji, przybyły na plac, gdzie czekały pod prażącymi promieniami słońca cały dzień, na przybycie wagonów, w których zawieziono ich do Treblinki. Na czele „niemego pociągu” jechał 63-letni wychowawca, Rajzacher i dr Tole Minc.

Krwawa akcja w Mińsku Mazowieckim

W archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego napotykamy na dużą ilość relacji o wyniszczeniu Żydów w Mińsku Mazowieckim. Oto jedna z nich, pisana przez Efroima Siedleckiego:

„Do ogrodzonego getta, gdzie znajdowało się ponad 5000 Żydów, 40 km od Warszawy, w końcu lipca 1942 roku dotarła wiadomość, że wyprowadzają z getta dziesiątki i setki ludzi. Dzieci odrywają od matek, rodziców od dzieci i wywożą w zamkniętych wagonach, niczym zwierzęta. Podobne historie docierały do nas już kilka miesięcy temu z Lublina.

Mówiono, że Żydzi całymi miastami i miasteczkami są wywożeni w zamkniętych wagonach i zagazowywani. Było to jednak daleko od nas.

Część dawała wiarę tym wieściom, część... nie- Nie można było sobie tego wyobrazić, nie mieściło się to w głowie. Gdy przybyło kilku uciekinierów z innego miasteczka i opowiadali historie, które sami przeżyli, to z biciem serca słuchano i ze strachem pytano, jeden przez drugiego: co robić? Co mamy przedsięwziąć? W nocy, gdy uliczki getta otulała ciemność, wychodziło się na próg domu i słuchało się nocnych szeptów ciszy. Kilkaset kroków od getta przebiegała linia kolejowa. Przelatujące pociągi rzucały strach na mieszkańców getta. Z pociągów dochodziły płaczliwe głosy. W wagonach tych wieźli Żydów z warszawskiego getta.

Z groźnych jęków można było domyśleć się słów: «wody, wody; gwałtu wody». Nic poza tym nie zrozumiano.

Pewnego ranka, do getta przybiegł spocony chłopak, w podartej koszuli i z dziko patrzącymi oczami. Bił głową o mur, rwał na sobie ubranie i krzyczał: «Żydzi prowadzą nas na śmierć». Opowiadał, jak go załadowano do przepełnionego wagonu. Było tam bardzo ciasno i duszno, brakowało wody do picia. Ludzie z SS strzelali do środka wagonu, by się uspokoili, a ludzie w wagonach się dusili.

Trudno to znieść. «Ojciec wyskoczył okienkiem, ja po nim... teraz chcę iść do swojej Warszawy. Powiedzieć im o tym, że wywożą ludzi na śmierć. Trzeba im to koniecznie wyjaśnić. Wiozą ich do Treblinki. Niechaj się nie dadzą wywieźć».

Kobiety z rozpaczyny patrzyły na swoje małe dzieci. Załamywały ręce i ciężko wzdychały. Stary Żyd odwrócił się, wyszeptał jakąś modlitwę do Boga, z łaski dla praojców Abrahama, Izaaka i Jakuba... Nieco Później Żydzi trochę się uspokoili, bo w Warszawie biorą tylko takich, którzy nie pracują, a tych, którzy pracują zostawiają na miejscu. Więc zdobywano miejsca pracy przy wojsku, w niemieckich urzędach, aby tylko uniknąć wygnania. I tak — zapewniali Niemcy — jeżeli wszyscy będą pracowali, to miasteczka nie ruszą. Tymczasem, każdy dzień przynosił straszniejsze wiadomości. We środę mówili, że w Otwocku zlikwidowali getto. Barbarzyńcy w mundurach SS zagnali Żydów na stację. Wpakowali ich do zamkniętych wagonów i wywieźli. Domy, gdzie byli schowani Żydzi, podpalili. W nocy widać było łuny pożarów.

Uciekinierzy z Otwocka opowiadali, co „dobrzy” Niemcy mówili: «Uciekajcie, uciekajcie, my was wszędzie znajdziemy». Nazajutrz nowa wiadomość: «Rembertów i Falenica wysiedlone»). Oznaczało to, że teraz kolej na nas. Po południu Judenrat zaczął uspakajać, że to, co miało miejsce, dotyczy powiatu warszawskiego. Tu, u nas, nic takiego się nie wydarzy. W piątek rano getto jest wstrząśnięte. Oni są,,.

Do Landratu przyjechało kilka samochodów z uzbrojonymi esesmanami i Ukraińcami. Tak, to są oni. Rozpoczyna się bieg niewiadomo dokąd...

Grupa przerywa okalające getto druty i ludzie biegną przez pola do lasu. Inni chowają się w domach, na strychach i w specjalnie przygotowanych kryjówkach. Jakiś ojciec mówi dzieciom:

«Biegnijcie w różnych kierunkach, może ktoś się uratuje». Jakaś matka daje dziecku trochę słodyczy i parę złotych i każde uciekać do lasu. Tymczasem getto otoczone zostaje przez oddziały SS. Za uciekającymi otwierają ogień.

Ludzie padają jak na polu bitwy. Przed gmach Judenratu zajeżdża kierujący akcją, w towarzystwie starosty niemieckiego oraz komendant policji i rozkazuje, by wszyscy Żydzi natychmiast zebrali się na rynku. Ci, którzy spróbują się chować, będą na miejscu rozstrzelani.

Ale zanim wiadomość ta się rozeszła, pędzą już esesmani, łaknący krwi, niczym dzikie zwierzęta przez żydowskie domy, gnając ludzi na rynek. Chorych i tych, którzy nie nadążają, strzelają na miejscu. Przeto wielu ludzi wynosi swoich chorych z domów na miejsce zbiórki.

Na szerokim placu rynkowym, który graniczy z gettem, siedzą pod żarem sierpniowego słońca spędzeni tu Żydzi: osobno kobiety z dziećmi, osobno mężczyźni. Podniesienie się grozi zastrzeleniem. Małe dzieci przytulają się do swoich matek, starsze zadzierają główki z przełkniętym wzrokiem, w tamtą stronę, gdzie są ich ojcowie. Ale oni też nie są w stanie im pomóc. Dookoła nich krążą esesmani, którzy chcą złota, złota. Ten, który da złoto... będzie żył.

Trochę wody kosztuje złotą obrączkę. Kobiety oddają swoje cenne ozdoby, odziedziczone po swoich rodzicach od pokoleń. Największa męka ma kiedyś swój koniec.

Liczą Żydów. Raport stwierdza: 3500 głów. To wprowadza kierującego akcją w zdenerwowanie i furię. Brakuje jeszcze dwa tysiące ludzi. Ma pretensje do swoich podwładnych, że źle szukają.

Żydzi się chowają — wrzeszczy. W końcu całą złość wylewa na Judenrat i policzkuje jednego po drugim jego członków. Na rynek przybywa trochę Niemców, różni kupcy, przedstawiciele firm niemieckich. Potrzebują robotników. Chcą, by zostawić nieco Żydów, którzy będą u nich pracować. Rozpoczyna się handel ludźmi, każdy rwie się do przodu, do szczęśliwców, którzy zostaną przy pacy. Fala ludzka wrywa się i miesza z esesmanami i policjantami, którzy utrzymują porządek. Esesmani zaczynają bić kolbami karabinów po głowach i plecach. Wreszcie zdarza się nieoczekiwana rzecz. Żydowski młodzieniec wrywa karabin Niemcowi i wali go po głowie. Ze wszystkich stron zostają ustawione karabiny maszynowe.

Po upływie kilku minut nie można było poznać ani jednego człowieka. Pozostała jedna wielka miazga z ludzkich ciał zanurzonych w kałuży krwi.

Tak poległ Jakub Zeidel z Kalisza, który pragnął zemsty. Zginął jak bohater. Pozostali zostają odprowadzeni na stację kolejową.

Pod gradem kul i bicia pejcami słysząc głosy — «gwałtu», ale nic z tego. Przedstawiciel gminy żydowskiej odmawia na głos spowiedź, a cała gromada powtarza za nim. Niemcy tłuką i każą głośniej «śpiewać». Taka była ostatnia droga Żydów z Mińska Mazowieckiego, leżącego o 40 km na Wschód od Warszawy”.

Taka jest prawda o tragedii Żydów okupowanej Polski w latach

II wojny światowej. Nikt nie jest w stanie zaprzeczyć. Nie pomogą żadne środki propagandy ze strony neo-nazistów, żadne broszury, ani książki, które zmierzają do rehabilitacji ludobójców hitlerowskich. Fakty dotyczące zagłady milionów Żydów w miastach i miasteczkach Polski, są dość głośne, a obrazy wyniszczenia narodu są jeszcze świeże w pamięci...

Opinia publiczna świata musi być czujna. Nie wolno dać się uśpić natrętnej propagandzie neo-nazistowskiej. Wszyscy winni przestępstw przeciw narodowi żydowskiemu i innym narodom muszą otrzymać zasłużoną karę.